

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.
Wychodzi co tydzień.

MÓJ PORZĄDEK DZIENNY.

Żyję sobie wesół,
Jak to ptaszę Boże,
Powiedzieć mi, ludzie
Co mnie smucić może?

Ledwie słońce wstanie,
Już i ja nie leżę,
Myję się, ubieram
I mówię pacierze.

Mateczkę i ojca
Całuję wesół,
Żwawo jem śniadanie
I spieszę do szkoły.

Po szkole copędzej
Powracam do domu:
Uczę się i bawię,
Lub usługę komu.

Gdy skończę naukę
I złożę książeczkę,
Patrzę, w czym wyręczyć
Kochaną mateczkę.

I raźnie, wesóło
Podśpiewuję sobie.
Wszystkim, komu mogę,
Coś dobrego zrobię.

To dziadka obronię
Przed Burkiem niecnotą;
To Józie maleńką
Przeniosę przez błoto.

Czasem ktoś mnie z chłopców
Szturchańcem uraczy:
Ale po przyjaźni
I to się przebaczy.

Gdy mi tak dzień spłynie,
Nim się spać położę,
Proszę: „Daj bym zawaze
Dobrym był, o Boże!”

Na kresach.

Opowiadanie z zamierchłej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

Wyszomir zawołał na krzątające się niewiasty.

Te, usłyszawszy wołanie, pędem rzuciły się ku chacie, a obchodząc gorejące ognisko, rzuciły weń ziola. Jedna zaś obiegając drzewo, pod którym spoczywał Lech, odpędzała gałęzią złe duchy, które, według wyobrażenia Słowian, czyhały na umierającego.

Wyszomirowi zaś nie wolno było oddalić się od łoża ojca, bo w ostatnich chwilach siła i zalety umierającego, wraz z władzą, miały wstępować w najstarszego syna.

Na kilkakrotne wołanie „Dodek, Dodek!” jakby na głos zaklęcia, Dodek w otoczeniu swojej drużyny wstąpił we wrota. Znać głos go Lecha doleciał, bo wstrzymawszy konia, zsiadł z niego przy pomocy Chroma; a macając ręką przed sobą, szedł za tym głosem, jakby go nie ucho, lecz oczy doskonale widzące prowadziły.

— Dodek! — krzyknął głośnie Lech i zerwał się z posłania.

— Jam jest, druhu mój i wodzu! — rzekł Dodek, stojąc nad łożem. — Czyż mnie to ciebie żegnać! Ty do ostatka stałeś w pośrodku swego ludu, a jam ślepiec wśród pustej pozostał zagrody.

— Cicho! nie nasza rzecz sprzeciwiać się bogom — rzekł Lech — odzyskując mowę i siłę. — Bogi mnie ku sobie wołają, rozkazując inne teraz wieść boje. Wrogi coraz częściej od zachodu napadają, uprowadzając w niewolę. Dodku, ty idź od osady do osady i wołaj, niech się łączą przeciwko Niemcom.

— Ja? ja? stary i ślepy, czyż głosu mego kto posłucha? — rzekł Dodek.

Wyszomir targnął brodę niecierpliwie, a wśród napływającego coraz więcej ludu przeleciał jakby szmer głuchy.

— Tak, ty, ty, druhu mój! — mówił Lech. — Ty stary i ślepy! Tyś ślepiec, a oto oczami twojemi będzie Bodar, wnuk mój po najmłodszym synie. Nie ma on rodziców, a jam go wychował. Gdy mnie nie stanie, ty mu dziadem będziesz — i to mówiąc, umierający skinął na dwunastoletnie chłopię, a na głowie jego dłoń starego Dodka położył.

I Lech wysiłony wołaniem, opadł znów na posłanie. Dodek stał, oparłszy się o drzewo, które otaczali przybyli z nim towarzysze.

Cisza zaległa dokoła...

— Wyszomir! — zawołał umierający — słuchaj! ty zostaniesz kniazem po mnie.

I opadł, przymknawszy zupełnie powieki.

Piers zaczęła się gwałtownie podnosić głuchem chrapotaniem, dając ostatnie znaki życia. Powoli, powoli głuchło chrapotanie. Dodek wyciągnął nad jego głowę żylastą dłoń swoją; Wyszomir obie ręce splótł z rekoma ojca, jakby chciał tem władzę jego przejąć.

Wśród otaczających głucha zaległa cisza.

Naraz zerwał się i usiadł umierający, a potoczywszy błędnem okiem, wyrwał ręce synowi, zaczął niemi ku sobie powietrze przyganiać, uchwycił znów ręce syna.

I opadł całą siłą na posłanie. Oczy się zamknęły, uśmiech przeleciał po ustach. Głowa zagłębiła się całym ciężarem, ciało drgnęło, wyciągając się, aż wszystkie zatrzeszczały członki, ręka ścisnęła silniej dłoń syna i potem bezwładnie opadła, a z pomiędzy siwej, spadającej na piersi brody, pokazały się ślady bladej krwi, co z ran otwartych się sączyła.

— Nie żyje! — jęknął Wyszomir i rozerwał na sobie szaty na znak ciężkiej żałoby.

— Nie żyje! — krzyknął Dodek. — Cześć mu! — zawołał, a na znak tej czci ułamał zwieszającą się gałąź i rzucił na martwe Lecha zwłoki.

— Nie żyje! cześć mu! — wołano dokoła wśród ludu, zawodząc, płacząc i rzucając zielone gałęzie.

Łzy i szlochania wzmagały się coraz to więcej. Od chaty ciągnęła rodzina i czeladź zmarłego.

Niewiasty machając białemi chustami i skrzydłami ptaków, odpędzały złe duchy, aby nie dozwolił zmarłego na własność zagrabić. Pies, leżący u stóp posłania, zawył żałośnie, wtórowały mu wszystkie psy w podwórzu... Pod szopą ożwało się rżenie konia i niecierpliwy stukot kopyta, a na wrotach siedząca sowa swoje: „pójdź, pójdź!” złowrogo jęczała.

Czeladź pod usłane łoże podkładała dragi, a dźwignawszy z niem zmarłego, obnosiła około chaty, jakby na pożegnanie. Poczem ponieśli go na opodal leżące wzgórce, gdzie, wedle obyczaju, złożono go na wielkim stosie drzewa.

Wśród łez rodziny i krzyków nieodłącznych od obrządku płaczek, na cztery rogi stos podpalono.

Każdy z przytomnych rzucił w ogień co miał najdroższego, aby zmarły wziął z tego światła od ludu pamiętkę...

Rzucano więc toporki, odzież, strzały, oszczerpy, jadło, słowem wszystko, czego wówczas w codziennem życiu Słowianie potrzebowali. Był to opatrunek na drugie życie; według swego rozumienia dawali wyprawę zmarłemu, aby wśród bogów zająć mógł przynależne miejsce.

Dodek, obszedłszy stos dookoła, rzucił węgiel, co nim przez lat tyle wojował...

Łuk zawisł na palącym się drągu i długo kołysał, aż nareszcie ogień go pochłonął.

Krzyki i płacze trwały noc całą.

Słońko wzbiwszy się, zastało zmordowanych ludzi rozłożonych w odpoczynku pod wzgórzem.

Ci, co nie zdążyli przybyć na wezwanie Lecha, ścigali powoli na stypę, czyli uczę pogrzebową, trwającą dni kilka, dopóki gorzał stos, który jako dla wodza, z wielkiej ilości drzewa i rozmaitych przedmiotów był nalożony.

Uciechły lzy i żale.

Na miejscu, gdzie zgorzało ciało Lecha, nalożono kamieni, usypano wysoką mogiłę, a miejsce to odąd wzgórzem Lechowem nazwano.

V.

Ludu na zawołanie Lecha i na jego pochówek zebrało się niemało. Ciągnął on ze wszech stron, bo każdy wiedział, że jeżeli nie na stypę, to na obór nowego wodza trzeba podążać. Jedni ciągnęli pieszo, inni na koniach, prowadząc za sobą objuczone podjazdkę. Wybierający się na długie dni z zagrody, brali w torby suszone mięso i placki, które podczas obozowiska po za domem, przy rozłożonych ogniskach, spożywano.

Pod wzgórzem więc Lechowem ludu było nie mało.

Ogniska rozłożone tam i sam migotały zdala światłem. Ludzie rośli, silni, z otwartym wyrazem twarzy i łagodnym wejrzeniem, odziani skórą zwierząt, lub w lnianem, przepasanem tylko skórą, czy też skreconą wiciną, odzieniu, leżąc około ogniska, gwarzyli. Przypominali sobie wielkie czyny Lecha, rozповідали o pracach w zagrodzie, zabitym zwierzu i przybyszach, włóczących się coraz więcej po słowiańskich ziemiach.

— Co się to teraz w naszej ziemi dzieje, to pewnie dotąd ani słuchu o tem nie było — mówił Czyż, średniego wieku, tęg i barczysty chłop, obwiązując stopę kawałem skóry. — Jak się zacząłem uganiać za tymi przybłędami, co chyłkiem na skraju lasu się przedzierali, tom zgubił chodak i o mało co ślepią na gałęziach nie postradał.

— Okaś nie postradał — rzekł, śmiejąc się Wręb, równy mu wiekiem — aleś postradał tych, co uciekli.

— Wilkom ich na pożarcie — odparł Czyż. Nie mało się ich jeszcze po ziemiach włóczy; jeszcze ich napotkam. Nieme te bestye, bełkoczą,

rozumieć ich nie można. Choćby zaprządz do roboty, ale cóż, toż cię i bydlę pozna, gdy doń zagadasz, a te nijak. Mało to z nich wszystkich pożytku.

— A oto, — wtrącił trzeci, co go Lisem zwano — Złot takich aż dwu ulowił; a choć to nie gada, do roboty jednak tegie. Koło konia chodzi i oszczep wygładzi, a i około roli potrafi, choć mu to niezdarnie.

— Wolalby ja się zbyć i pomocy, aniżeli takie nieme stworzenie koło siebie chować — rzekł Wręb, wyciągając się wygodnie. — Niby to wygląda jak człowiek, a po człowieczemu nie gada, ino bełkocze, co go chyba samo złe może zrozumieć.

— Poradzi sobie z nimi Złot, mądra to ci głowa! Nie darmo on w radzie siada — mówił Czyż, kończąc przywiązywanie chodaka.

— Oj, mądry jest Złot, ale mądre i te przybysze, ozwał się Wręb, a bodaj ze swoją pracą nie naplatali nam biedy. Nieme to, nieme i Niemcem też bodaj zwane, a jak kraj splądrują, to swoich przywiodą. Ja tam, jakbym takiego natknął, tobym się z nim długo nie bawił; pod pierwszy kamień i bogom na obiatę, — to mówiąc, uderzył oszczepem o ziemię, jakby na prawdę dopełniał ofiary.

— Oho, nie wymknąłbyś się i mnie drugi raz! — krzyknął Czyż, odgrażając się.

— A no, sambym go uśmiercił, gdybym spotkał — mówił Lis spokojnie, — chciałem krwi nie chciwy. Każdemu przecież wolno na swojej ziemi, jak mu się widzi.

— A nie inaczej, — rzekł Wręb, napowrót siadając i uderzając powoli oszczepem o ziemię.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Kapryśny Bryś.

— Co to, Brysin? co to znaczy?
Niech się zaraz pies tłomaczy:
Wszakżeś ty, domowy stróżu,
Być powinien na podwórzu. —
Na twej głowie jest dom cały,
Czy to w nocy, czy dzień biały,
Więc cóż znaczy ta swawola?
Nie w pokoju twoja rola!

— Prawda, prawda! — Bryś odpowie,
Wiem, że wszystko na mej głowie,
Lecz za takie ja usługi,
Cóż dostaje jak rok długi?
Ani mięsa, ani mleka,
A za darmo nikt nie szczeka,
Ja osypki nie rachuję,
Bo osypka w zęby kłuje.

— A fe, Brysiu! Wstydź się stary—
Rzecz do prawdy nie do wiary,
Żeby pies, porządny taki,
Oblizywać chciał przysmaki.
Wszak osypka znakomita,
Bo się najesz nią do syta.

Zresztą, dowiedz się kochanie,
Że przysmaków ten dostanie,
Kto się o nie nie przymawia,
Obowiązki pilnie sprawia.
Taki Bryś, co się napiera,
Nie wart chleba ani sera.

Nagoda.



Nauka polskiego czytania i pisania.

Lekeya X.

o d. bu-da, bu-dy, bu-dą, bu-
dę, on ma bu-dę ma-lą, lu-bi-my
wo-dę, i-dę na do-li-nę, on bu-
do-wał do-my, dę-ba, dę-by, dę-
bo-wy, dę-bi-na.

Niech dziecko uczy się biegle czytać tych
liter z góry na dół, z dołu do góry, pojedynczych
wyrazów wedle wskazania.

Równocześnie niechaj uczy się pisać, najle-
piej ołówkiem w zeszytzie z liniami.



ŁAMIGŁÓWKI

I.

Przez r to przedmiot co ma znaczenie,
Zarówno na wsi, jak i na scenie.
Przez W wsi naszych wielu nazwisko,
Z których jest jedna Warszawy blisko.
A z drugiej strony, każdy wie o tem,
Że jest i duszy ludzkiej przymiotem.
Przez d rzecz, którą z wyroków nieba,
Gorzką czy słodką przenieść potrzeba.

II.

Jestem rzeką co przestrzeń obliczywszy ściśle,
W Polsce tylko pierwszeństwa ustępuje Wiśle,
Lecz zrób w mem zakończeniu jedną tylko zmianę
A ujrzysz, że się z rzeki zaraz dREWEM stanę.
Co choć daje pożytek i osłania cieniem,
Ze strasznej klęski w dziejach łączy się wspo-
mnieniem

III.

Biorę początek mojej istności
Z ptaków gawiedzy skrzydlatej,
Dawniej służyłem ludzkiej mądrości,
Dziś częściej zdobię bogatych.

IV.

Choć języka nie posiadam,
Wnet każdemu odpowiadam.
Nikt mnie nie widzi na świecie,
Ale słyszy nieraz przecie.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 9.

I.

o — ko — nie

II.

Kawka

III.

Ławka

